

Jeździec w kraju Basutów.

# „MATKA BOŻA“
## w stacyi misyjnej Kakamoeka
## (filii Loango).

***Przez O. Le Scao, C. S. Sp.***

(Dokończenie).

### III. Organizacya.

Od dnia 15 listopada rozpoczęła się nauka dla 35 dzieci. Przychodzą w sobotę koło południa, przynoszą maniok jako pożywienie na czas czterech dni, a we czwartek rano wracają po nauce katechizmu do domu. Powoli przyprowadzano mi coraz nowe dzieci, siedmioro jednakże musiałem odesłać z powrotem, obecnie jest ich 53

W niedzielę przychodzi od 80 do 150 osób do misyi dla wysłuchania Mszy św., poczem następuje nauka katechizmu. W ten sposób zapozna się wkrótce całe plemię z głównemi prawdami naszej św. wiary, co wielce ułatwia chrzest umierających.

## IV. Wyniki.

W kilka dni po przybyciu, odwiedził mnie pewien chrześcijanin z Malemby. Wychowany w Loango, w misyi, opowiedział mi, że jest żonaty i że żona jest poganką. Posłuszny memu poleceniu, przychodził odtąd wiernie co niedzielę do misyi na Mszę św. wraz z żoną, której udzielałem nauki katechizmu. W lutym ochrzciłem ją i pobłogosławiłem ich związek.

Często musiałem odjeżdżać do Loango, do spowiedzi św., gdy zaś moi Bracia z Nsessé pracowali przy budowie, musiałem *za nich* odwiedzać chrześcijan w Budianga. Nieobecność moja trwała cały miesiąc, ale się na nią nie skarżę, gdyż wysłuchałem w tym czasie 39 spowiedzi, udzieliłem 22 osobom Komunii św. wielkanocnej, dwóch umierających (na śpiączkę) ochrzciłem, jednemu udzieliłem Ostatniego Namaszczenia, a tysiącom pogan głosiłem naukę wiary. Musiałem odmówić przyjęcia 25 dzieciom, które chciały przyjść do Kakamoeki!

Muszę się także przyznać, że o mało nie przypłaciłem pobytu mego tam życiem. W kraju Kidunda, (zamieszkałym przez Ponusów, którzy nie chcą nic słyszeć o podatkach), wziął mnie jeden murzyn za ajenta rządowego i chciał zabić. Na szczęście skończyło się na strachu.

Mimo mej nieobecności, dzieło „Matki Bożej“ postępuje. W uroczystość Wniebowzięcia Najśw. Maryi Panny ochrzciłem 13 dzieci. Trzydzieścioro umiało katechizm, ale dla pobudzenia ich gorliwości, dopuszczałem do chrztu św. te tylko, z których każde nauczyło dwie osoby *Ojcze nasz, Zdrowaś Maryo* i *przykazań.*

## V. Przybycie X. Biskupa.

W marcu zaszczycił X. Biskup naszą pustelnię w Ndilu-Mamba swoją obecnością. Spędził u nas cztery dni. Tak jak każdy, kto widzi ten kraj po raz pierwszy, był niezadowolony z ilości wiosek i przestrzeni je dzielącej. W niedzielę po Mszy św. przedłożył X. Biskup naczelnikom wiosek życzenie, aby w ciągu pięciu miesięcy przenieśli te osady bliżej, gdyż w przeciwnym razie misya musiałaby być zniesioną. Jeszcze przed końcem lipca zbliżyło się kilka wsi, z wioską naczelnika na czele, nad brzeg rzeki Longniouka. Na zakręcie rzeki, o 35 minut drogi od Kakamoeki, znajduje się piękna równina. Na tę równinę przeniosą się chaty z Ndilu-Mamba, przyczem będą powiększone.

## VI. Nadzieje.

Dokoła tej nowej placówki, w promieniu 3—4 kilometrów osiedla się 15 wsi. Niemało przyczynia się do tego zbli-

żenia okoliczność, że murzyni odnoszą codziennie maniok do faktoryi. Mieszkając bliżej, unikają trudności dostawy. Nie sądzę, aby kiedyś zechcieli powrócić do dawnych siedzib, tembardziej, że zajmą je zapewne mieszkańcy wsi jeszcze odleglejszych, którzy się teraz przybliżą.

Przedsiębiorstwo Ancel w Tubie (o 2 godziny drogi stąd) i przedsiębiorstwo Sargos w Magni (o 3 godziny drogi), zatrudnia każde 300 robotników. Jest nadzieja, że robotnicy ci, zmuszeni okolicznościami, osiedlą się w pobliżu nas wraz z rodzinami, tembardziej, że właściciele przedsiębiorstw życzą sobie tego. Mówią także o założeniu plantacyi kakao w Kakamoece i jeśli się zważy, że te wszystkie prace zatrudniać będą coraz więcej ludzi, przypuścić można, że ludność tutejsza wzrośnie również.

Misya „Matki Bożej“ w Kakamoeka ma zatem piękną przyszłość przed sobą i do rozwoju brakuje jej tylko dwóch rzeczy: przedewszystkiem — drugiego misyonarza, by można częściej odwiedzać wioski, nie przerywając z tego powodu nauki w misyi, a powtóre — środków pozwalających na przyjmowanie dzieci ze stron dalszych.

Ile razy otrzymamy 60 koron ofiary, tyle razy możemy przyjąć o jedno dziecko więcej do misyi. Po kilku latach wróciłyby te dzieci do wsi rodzinnych, torując drogę misyonarzowi. Niektóre wykształcone na katechistów, byłyby nauczycielami stron rodzinnych, a misyonarz musiałby tylko nimi kierować i doglądać ich pracy.

Ufam silnie, że Najświętsza Marya Panna, Matka Boża, okaże Swą moc i urzeczywistni te dwa pragnienia. W tej to intencyi modlą się każdego wieczora neofici i katechumeni: *„Santa Maria, Mama Nzambi, tu sambila Jezu.“*

# ABISSYNIA I ABISSYŃCZYCY.

## CZARNE KWIATY.

### Różne szczegóły o Abissynii i jej mieszkańcach.

Przez O. Józefa Baetman'a, misyonarza Lazarystę.

(Ciąg dalszy).

XXII.

**Życie misyonarza w Abissynii... niegdyś.**

Na co to słowo: „Niegdyś?“ — Na to, by zaznaczyć, iż zmieniły się czasy! Niegdyś bowiem kwitło życie apostolskie

w całej pełni, pomimo prześladowań prawie nieustannych. Składało się ono z podróży pieszych, nauczania, przygód, które w wyobraźni młodego misyonarza tworzyły wiązankę ponęt pociągających go i podsycających młodzieńcze marzenia!...

Oto czem było życie misyonarza za czasów X. Biskupa de Jacobis. Przedewszystkiem misyonarz powinien był pozbyć się doszczętnie przyzwyczajeń europejskiego, cywilizowanego człowieka, o ile takowe dotyczą życia zewnętrznego, a przyswoić sobie sposób koczowania swoich owieczek.

W podróżach apostolskich szukał on schronienia w jaskiniach, żłobionych ręką natury, lub w lichych lepiankach, które Irob, koczownik, kleci z gałęzi jałowca i z sykomorów. Przy budowie chat murowanych, błoto zastępuje cement; są one jednak wyłącznie udziałem możnych. Ukazanie się misyonarza to — wielkie święto dla tutejszych Irobów oraz ich rodzin. Rozściela się wówczas z wielką uprzejmością w miejscu najczyściejszem chaty, lub raczej — najmniej brudnem skórę krowią, na której, z konieczności gościowi usiąść wypada. Siedząc zatem z nogami skrzyżowanemi, modą wschodnią, naucza misyonarz wiary św. swe otoczenie, szamocąc się przytem w tysiącznych kontorsyach na równi ze słuchaczami, w celu odegnania dokuczliwych owadów, od których się tu roi. Nauka kończy się wspólnem odmówieniem różańca. Następnie podaje się kolacyę. Przygotowania rozpoczyna wybór najokazalszego kozła w stadzie i przywleczenia go przed misyonarza, który pośpiesza wstrzymać egzekucyę, żadawalniając się dobrą intencyą właścicieli. W braku zatem mięsa, podaje się potrawę zwaną „gonfo“, będącą rodzajem rozgotowanego jęczmienia, pływającą w zjełczałem maśle. Potrawę tę uważają tubylcy za królewskie danie. Przynoszą ją w dużej misce z drzewa figomorwy. Jest to hasłem do usunięcia się kobiet, zwyczaj bowiem wymaga, aby jadały osobno. Mężczyźni, siedząc na ziemi, otaczają półkręgiem dymiące naczynie i raczą się dowoli tym kapitalnym przysmakiem. Nie rozporządzając do spożywania go innem narzędziem jak ręką, maczają każdy oderwany kęsek suto w maśle, zanim włożą go do ust. Bo już to na brak masła uskarżać się nie można! W miarę jak ubywa, dolewa go gospodarz obficie do szali. Co za uczta! Będąc królem biesiady, misyonarz raczeniu się przodować powinien, lecz, niestety, z wielu przyczyn, niezdolny on najczęściej do tego. Dobrze, iż otoczenie to uwzględnia. Piramida jadalna rozpada się i tak szybko pod zdwojonymi razami biesiadników. Następnie podają „lahano-kan“, sorbet ulubiony, w kubkach, przez kobiety tutejsze, wyplatanych ze słomy. Kubki te, mające kształt cylindra, zdawaćby się mogły z hebanu, tak dym i tłuszcz mleczny zczernił je i wypolerował. Każdy z nich zawiera około trzech litrów mleka, w którem zanurza się wy-

ciągnięte z ognia płonące głównie, doprowadzając w ten sposób płyn do wrzenia i mieszając go równocześnie patyczkiem tak długo, aż śmietana osiądzie na wierzchu, a wtedy biesiadnicy raczą się nią parami z tych czar, przechodzących z rąk do rąk. Po skończonej biesiadzie odmawiają wszyscy wspólnie modlitwę wieczorną, poczem misyonarz kładzie się na skórze krowiej w nadziei snu, który jednak najczęściej dopiero późną przybywa nocą. Oto zaiste życie pełne poezyi wśród twardej rzeczywistości.

Obok ofiar zaznaje misyonarz i radości na widok dobra, które szerzy dokoła. Nęci go żniwo.... brak jedynie rąk, by je zbierać... Oto roztacza się ono przed nami bogate, w aureoli najpiękniejszych nadziei, dojrzewające w promieniach słońca Bożego... a w tem uderza grom, grzmot huczy złowrogo, huragan sroży się w całej pełni, wezbrany potok wód pustoszy wszystko... a biedny miosyonarz usuwa się do swej chaty przed ścigającem go prześladowaniem, które wkońcu odstawia go do granic państwa i wygania... na to — by powrócił z chwilą, w której nieco nastaje spokoju... i rozpoczynał mozolną pracę, przez burzę zniweczoną... Ukryty w jarze, lub w zagłębieniu gór czeka, aż wybije godzina Boża, czeka na chwilę, w której wielki jego Wódz zawoła: „Naprzód, do dzieła!"

Oto właśnie nasze obecne położenie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

## NOWA PREFEKTURA APOSTOLSKA W AFRYCE.
## (Północny Transwaal).

W kwietniu 1906 roku opuściło Antwerpię dwóch Ojców i jeden Brat z zakonu Benedyktynów z Subiaco. Opatrzeni błogosławieństwem przełożonych, zdążali oni do południowych krańców Afryki, dla rozpoczęcia w Transwaalu pracy apostolskiej w duchu św. Benedykta. I tak, jak niegdyś w dawnej Polsce, stać się ma dziś ten zakon dla Transwaalu ogniskiem, z którego światło Ewangelii wraz z nauką życia rozejdzie się po kraju.

Klasztor z odpowiedniemi zabudowaniami, stanowiący centrum misyi, służyć ma jako punkt, z którego wyjdą zakonnicy do pracy cywilizacyjnej i apostolskiej i do którego wracać będą po dokonaniu zadania lub dla pokrzepienia sił nadwątlonych; będzie więc to łącznik, w duchu zakonnym ich utrzymujący i zapewniający trwałość całemu przedsięwzięciu.

Przygotowanie gruntu i umożliwienie wykonania planu, było zadaniem tych trzech zakonników. Za zgodą Biskupa,

Wikaryusza apost., Msgra Millera, osiadł O. Tomasz w miasteczku Pietersburgu, w prowincyi Zoutpensberg. Nabyto znaczny obszar ziemi i O. Wiktor zamieszkał pośród kafrów. Taki był początek, ale teraz oddzieliła św. Kongregacya Propagandy od wikaryatu apostolskiego Transwaalu dwie prowincye: Zoutpensberg i Waterberg, tworząc z nich niezależną prefekturę; wobec tego należy myśleć o wzniesieniu regularnego klasztoru.

Zadanie to powierzono OO. Benedyktynom z Subiaco, z udziałem klasztorów w Affligem, Termonde, Steenbruge, Merkelbeck, Gangelt i Kornelimünster. Obszar nowej misyi jest rozległy, lecz zaludnienie niezbyt gęste, przedstawicieli rasy białej: Anglików i Boerów — niewielu, kafrowie wszakże — liczni. Kraj ten wogóle niedość jeszcze znany. Językami pospolicie używanymi są: angielski, afrykańsko-holenderski i kaferski (bardzo trudny). Oprócz Pietersburga największe mają znaczenie następujące miejscowości: Nylstroom, Potgieterszust, Leydsdorp, Louis Trichard, Warmbad i Hacnertsburg. Wiele sekt protestanckich rozwija tam ruchliwą działalność; w samym Pietersburgu jest 12 świątyń protestanckich rozmaitych wyznań. Wśród Boerów przeważa kalwinizm.

Tak się przedstawia to nowe pole pracy dla synów św. Benedykta. Wielu gorliwych zakonników wyczekuje niecierpliwie chwili, gdy będą mogli pójść między biednych murzynów dla zaniesienia im światła Ewangelii i łaski pokoju. *Pax*, słowo wyzwolenia, to — dewiza zakonu. Częć nowych pracowników ma wyruszyć pod przewodnictwem prefekta apost. O. Lanslot, Benedyktyna.

W duchu wiary i posłuszeństwa, z ufnością w pomoc Bożą i ludzką zdążają Benedyktyni do nieznanej im dotychczas ziemi i — zarówno jak tylu innych misyonarzy w Afryce — polecają się modlitwom i materyalnemu wsparciu Sodalicyi św. Piotra Klawera, aby w sercu kraju kafryjskiego Bóg był we wszystkiem uwielbiony.

## Korespondencya misyjna.

### Z WIKARYATU APOSTOLSKIEGO W SZIRE.

#### FATALNA POMYŁKA!

**(List X. Biskupa Auneau, Wikaryusza ap.).**

Każdej nocy, strażnik uzbrojony w strzelbę, krąży około naszych domostw i pól uprawnych, dla ochrony nas przed włóczęgami i dzikim zwierzem, jak: hyeny, lamparty i lwy.

Pewnego razu lampart zdołał wśliznąć się do kurnika i wyprawił tu sobie prawdziwą ucztę, pozbawiając nas około 50 sztuk drobiu. Zdarza się bowiem czasem, że nasz poczciwy murzyn, pełniący obowiązki strażnika, przypomina sobie nagle, iż noc z natury rzeczy przeznaczona jest do snu i wówczas zdrzemnie się niekiedy. Ale owej nocy nie zmrużył ani na chwilę oczu i nasłuchiwał pilnie. O północy, tej godzinie zbrodni, wydało mu się nagle, iż słyszy jakiś podejrzany szelest w pewnej odległości. Zbliża się więc cichaczem, ostrożnie, starając się przebić wzrokiem ciemności; wreszcie rozeznaje jakąś masę o niezdecydowanych kształtach i myśląc, że jest to dziki zwierz, daje ognia. Wówczas usłyszał chrapanie i szamotanie się drapieżnego zwierza, postępuje więc jeszcze kilka kroków, z palcem na odwiedzionym kurku, gotów wypalić powtórnie, jeśliby zraniony napastnik ponowił atak, ale zwierz padł już na ziemię, nie dając znaku życia. Podchodzi więc bliżej i cóż spostrzega ze zgrozą? Oto zastrzelił naszego muła, który przypadkiem wyszedł ze stajni!

Biedny człowiek! Ileż razy strzelał do hyen, lampartów, lisów i innych bestyj i zawsze je chybiał; i trzebaż było, aby raz wziąwszy na cel naszego muła, trafił go tak znakomicie! Wpakował mu kulę w sam środek piersi i przebił nią płuca. Oto strzał, który nas drogo kosztuje: muł nasz wart był dobre 1000 franków. Oddawał nam nieocenione usługi, kiedy trzeba było jeździć od szkoły do szkoły, lub do chorych. Ileż razy, dzięki szybkości jego biegu, zdołaliśmy na czas przyjechać dla udzielenia Chrztu św. konającemu! Jest więc dla nas ta strata nieodżałowaną, tembardziej, że wobec szczupłych naszych środków w obecnej chwili i ciężkich a licznych wydatków, jakie nas czekają, nie możemy ani marzyć o kupieniu innego muła. Dlatego to w tej ciężkiej potrzebie udaję się do Pani — do Jej hojności dobrze mi znanej, jako też do serc Jej współpracowników i współpracowniczek. Jakąż przysługą byłoby dla nas dostarczenie pieniędzy na to zakupno! Ale suma to jest znaczna, muł kosztuje tutaj 1000 franków. Gdyby więc kwota ta wydała się za wysoką, wiem bowiem, jak zewsząd oblegają Panią prośbami ubogie misye, które znają Jej nieprzebraną dobroć, to proszę przynajmniej, jeśli to możliwe, dostarczyć nam poprostu rowera silnej konstrukcyi, albo pieniędzy na kupienie tegoż. Rower taki zastąpiłby nam poczęści straconego muła. Dzięki tej jałmużnie rozporządzalibyśmy znów szybkim sposobem komunikacyi i bylibyśmy w stanie, bez zwłoki, stawić się u łoża chorych, których chwile są policzone.

Okręg nasz misyjny w Nguladi, rozciąga się na przestrzeni jakich dziesięciu godzin drogi od nas. Wypadki niesienia spiesznej pomocy umierającym, są dziś już bardzo częste, z czasem,

przy coraz większym rozwoju naszej misyi, staną się jeszcze częstszymi. A dzięki Bogu, rozwija się ona, jak dotąd, bardzo szybko.

# Z nad Zambezy.

## MISYA KATONDUE.

W. O. Lazarewicz T. J., którego »Dziennik podróży z Krakowa do Angonii« czytaliśmy niedawno jeszcze z takiem zajęciem, przesyła nam niemniej interesujący list obecnie; dowiadujemy się zeń o dalszych losach czcig. Misyonarza i o misyi, powstałej nad Katondue, wskutek prześladowań na terytoryum portugalskiem. Misyą tą Sz. Czytelnicy zajęli się już wspaniałomyślnie.

Gdyśmy otrzymali 22 maja w Angonii wiadomość z Rzymu, że misyę naszą objęli Ojcowie Oblaci, opuściłem ten piękny i zdrowy kraj Nyassy, ten lud liczny a dobry i podążyłem do nowej misyi *Katondue*, (w pobliżu Miruru *). Po miesięcznej prawie ciężkiej podróży, szczęśliwie przybyłem do Miruru dnia 24 czerwca, zaś 15 lipca udałem się do Katondue, gdzie stanąłem tegoż dnia wieczorem. Miejscowość ta nosi nazwę od rzeczki Katondue. Źródło, bijące ze skały, (o sto metrów od domu naszego), tworzy tę rzeczkę, której woda nietylko nigdy nie wysycha, są bowiem inne jeszcze boczne i na dnie źródełka, ale taka jest jej obfitość, iż można, za pośrednictwem kanałów, zwilżać ogród i szeroką, pod uprawę, dolinę. Brzegi jej zdobią olbrzymie, cieniste drzewa, zwane miruru, materyał wyborowy do budowy, i wyniosłe urocze palmy.

Praca O. Moskoppa i Brata Rodenbüchera, którzy przy pomocy murzynów, od czterech miesięcy zajęli się założeniem ogrodu i uprawą gleby, wydała bardzo pomyślne owoce. Pszenica udała się znakomicie, również ziemniaki, groch i inne jarzyny.

Dokoła rozpościerają się lasy, a w oddali widnieją wzgórza i góry lesiste, legowiska dzikich zwierząt. Są tu lwy, lamparty, dzikie psy (gatunek wilków), antylopy, dziki, bawoły, zebry, całe stada małp i mnóstwo ptactwa. W nocy poza dom nie można się wychylić. Przed trzema tygodniami, późnym wieczorem, dwa lwy nas odwiedziły; miały chrapkę na porwanie wołu, lecz nie mogły się przedostać przez kolczaste ogrodzenie. Niedawno lampart wpadł w zastawioną żelazną łapkę. Nieborak całą noc spędził na pokucie w ogromnym strachu, a usiłując się wydostać z objęć żelaznych, z taką siłą gryzł metal, że połamał i pokruszył sobie wszystkie zęby. Rano wykonaliśmy na nim egzekucyę celnym karabinowym strzałem.

---

*) Mapa w Nr. 9 — 1911. *(Przyp. Redakcyi).*



O. Lazarewicz w kaplicy.

O godzinę drogi od Katondue płynie wielka rzeka Roangua, której źródła biją w stronie południowo-zachodniej jeziora Nyasa; wpada ona do rzeki Zambezy niedaleko Feiry. Po obu jej brzegach widać rozsiane dość liczne wioski pogańskie. Na lewym brzegu znajduje się terytoryum portugalskie, na prawym zaś terytoryum angielskie, tworzące okręg Feira, rozciągający się jeszcze na zachód wzdłuż brzegów rzeki Zambezy, aż poza kraj Mburuma. Całe zatem przyszłe pole prac misyjnych w Katondue jest tak rozległe, jak przestrzeń od Krakowa do Rzeszowa. Klimat jest zdrowy. Język kaferski jest ten sam, co w misyi Zambezkiej, a poganie są przychylnie usposobieni do przyjęcia wiary św. Misya ta w obecnej chwili jest jeszcze w projekcie — dla otwarcia jej i rozpoczęcia prac apostolskich oczekujemy z upragnieniem sankcyi z Rzymu. Mocną mamy w Bogu nadzieję, iż niedługo zajaśnieje i powiewać będzie sztandar Krzyża na prawym brzegu Roanguy, niosąc pokój Boży duszom tym, ginącym w ciemnościach nocy pogaństwa.

## Drobne wiadomości misyjne.

**O. Torrend S. J.** z Kasisi donosi nam o fakcie, który uważać można za zupełnie opatrznościowy:

„Naczelnicy kraju położonego na północ od Kafuwe, po większej części pochodzenia arabskiego, zabraniają kobietom przyjmować Sakrament Chrztu św. Opatrzność Boska znalazła jednak środek całkiem niespodziewany, aby uczynić wyłom w tej ostatniej zaporze, jaką chcieli się zabezpieczyć przed postępami naszej Wiary św. Doniesiono mi, że żona pewnej wpływowej osobistości tutejszej rozchorowała się niebezpiecznie. Poszedłem ją więc odwiedzić razem z O. Casset, który jeszcze wówczas tu przebywał. Pomimo znacznego opuchnięcia, śmierć nie zdawała się tak blizka. Stan jej pogorszył się jednak tak szybko, że we trzy dni później wszyscy oczekiwali już jej skonu. Powróciłem więc do chorej. Puchlina objęła ją całą: piersi, głowę, wargi, język, szyję, tak, że nie była już w stanie ani nic przełknąć, ani mówić, ani ruchu żadnego wykonać. Wiedziałem, że pragnęła być ochrzczoną i udało mi się doprowadzić ją do tego, że na migi wyjawiła to pragnienie. Ale wiedziałem także, że naczelnicy ani słyszeć o Chrzcie św. nie chcieli. Wdałem się więc w układy z jej mężem:

— Ach, nic nie mam przeciw temu — powiada — aby przyjęła chrzest, ale nie mogę się zgodzić na to, aby stała się chrześcijanką.

— Mój przyjacielu — odpowiadam — jedno się nie da zrobić bez drugiego.

— A dlatego nie chcę — powiada znów — bo religia chrześcijańska jest bardzo trudna.

— Jest może bardzo trudna dla tych, którzy nabrali złych nałogów, ale trudniej jeszcze jest umierać bez niej. A widzisz sam, że tutaj wszystko wskazuje na niechybną śmierć.

Wreszcie biedny człowiek widząc, że niema tak czy tak żadnej nadziei ocalenia życia żony, poszedł naradzić się z naczelnikami we wsi. W następstwie tego zapadła decyzya, że pozwolono chorej nietylko przyjąć Chrzest św., ale i stać się chrześcijanką! *(sic!)*

Natychmiast Chrzest św. został jej udzielony *in articulo mortis*.

Zdarzenie to miało miejsce dziesięć dni temu. Jakież więc było moje zdumienie, kiedy ostatniej niedzieli zobaczyłem moją umierającą, o której myślałem już, jak o nieboszcze, słuchającą Mszy św.! Jak tylko Mszę ukończyłem, przystąpiła do mnie do ołtarza z czteromiesięcznem dzieckiem na ręku, prosząc mnie, abym dziecko ochrzcił, a względem niej dopełnił ceremonii przynależnych do Chrztu św., które podczas choroby opuszczono.

Wszyscy mieszkańcy okolicy są teraz przekonani, że to Chrzest św. ocalił życie biednej kobiecie. Nie wiem, czy tak jest doprawdy, ale w co wierzę z całą pewnością, to że wszystkiem tem kierowała Boża Opatrzność, aby dać możność kobietom tutejszym należenia także do Chrystusowej owczarni.“

## Kronika Sodalicyi św. Piotra Klawera.

**Rzym.** *4 grudnia.* — Nasza Generalna Kierowniczka, korzystając z obecności w Rzymie Biskupów angielskich i amerykańskich, przybyłych tu z powodu nominacyi swej na kardynałów, prosiła o audyencye w celu zapoznania nowych Dostojników z Sodalicyą i „Echem z Afryki“, mającem od 1 stycznia 1912 r. ukazać się w języku angielskim. Dziś otrzymała posłuchanie u J. Em. kardynała Bourne, Arcybiskupa Westminsteru i u J. Em. kardynała O'Konell'a, Arcybiskupa Bostonu. Obaj Książęta Kościoła okazali nadzwyczajną dobroć i uprzejmość. J. Em. kard. O'Konell już podpisał ustawy Sodalicyi w dowód swej łaskawości.

*Poniedziałek, 11 grudnia.* — Odwiedziny, znanego Szan. Czytelnikom, X. Biskupa Munsch'a (rodem z Alzacyi), Wikaryusza apost. Kilimandżaro.

*Czwartek, 14 grudnia.* — W dniu dzisiejszym o godz. 3, J. Eksc. X. Biskup Munsch miał odczyt w sali naszej przy via dell'Olmata. Dostojny Prelegent oznaczył najpierw położenie geograficzne swego wikaryatu, następnie udzielił ciekawych szczegółów, dotyczących obyczajów, zwyczajów i wierzeń religinych plemion tamtejszych, przedstawiając zarazem zadanie misyonarzy, którym powierzone zostało niesienie ludom tym światło Ewangelii. Wikaryat apost. Kilimandżaro liczy obecnie 4.000 chrześcijan i znaczne możnaby tam osiągnąć wyniki pracy, gdyby ilość misyonarzy i środki pieniężne były odpowiednie.

Wreszcie J. Ekscelencya wyraził wdzięczność swą Sodalicyi św. Piotra Klawera i dziełu Rozkrzewiania Wiary; poczem zabrała głos na chwilę Generalna Kierowniczka, zachęcając obecnych do prenumeraty „Echa“, oraz poparcia Sodalicyi, której zadaniem — niesienie pomocy misyom afrykańskim.

Dzień dżdżysty nie stanął na przeszkodzie zebraniu się licznych słuchaczy. Zaznaczamy między innymi J. E. ministra bawarskiego przy Stolicy św., oraz Przew. XX. Prałatów i wybitnych kapłanów, przybyłych uczcić swą obecnością afrykańskiego Biskupa.

# CZARNOKSIĘŻNIK ZE SZCZEPU KIKUJU

***przez W. O. Bugeau.***

(Dokończenie).

Dla oszukaństwa, dla zadowolnienia chciwości swojej czarownik nie waha się zejść do roli szarlatana. Rozwlekłość jego, właściwa murzynowi, jego urok, jego bezczelna śmiałość nadają się do tego doskonale. Przepowiada on dobro, nigdy — zła; oznajmia deszcz, pogodę, uzdrowienie. Znajomość teraźniejszości, przyszłości, widzenie na odległość, przenikanie wzrokiem ciał nieprzezroczystych: nic go nie powstrzymuje. Jest to wyrocznia kraju! Dziwię się, że nie uczyniono zeń policyanta; niktby mu nie uszedł. I tak: przychodzi ktoś do niego zadyszany, z sercem przepełnionem goryczą. ukradziono mu owcę. „Dobrze — mówi czarownik — zbierzcie ludzi, a pokażę wam złodzieja.“ I przed publicznością stawi na ziemi naczynie z wodą, następnie zanurza w niem inne, giętkie, wydłużone, zaopatrzone u podstawy w mały otwór. Otwór został zmniejszony za pomocą wosku. Napełniwszy wodą, palcem zatyka otwór u góry i wyjmuje je, ku wielkiemu zdumieniu tłumu, nie mogącego pojąć, dlaczego woda nie wylewa się tam... na dół. „Mundu-mugo“ zatrzymuje się przed każdym z obecnych mówiąc: „Czy ty jesteś złodziejem?“ Milczenie pełne przerażenia panuje wśród obecnych... Ale woda nie leje się... nie, to nie on!... Jeden po drugim wszyscy podlegają próbie. Gdy czarownik zbliża się do tego, o kim wie, że popełnił kradzież, lub do niewinnego, ale będącego jego nieprzyjacielem, lub wreszcie do jakiegokolwiek bogacza: „To ty — mówi — jesteś złodziejem!“ i podnosi palec, wskutek czego oczywiście struga wody spływa przez otwór. „To on!“ — krzyczy gromada, i biedak, winny, czy niewinny, przyznaje się do występku.

Na jednem z takich zebrań daje się słyszeć głos szyderczy: „Ale, stary szkodniku, co też to twój palec tu robi?“ To katechista mój zdobył się na takie zuchwalstwo. „Milcz —

mówi czarownik — to moje rzemiosło!" Chrześcijanin milknie, gdyby nie to, tłum zwróciłby się przeciw niemu Zaślepione te masy powinnyby rozumieć niemoc czarownika. Dlaczego nie przepowiedział on głodu tegorocznego i doprowadził swych współrodaków do sprzedaży ostatnich zbiorów? „Mundu mugo", co prawda, nigdy nie jest zmięszany. Tak, jak kabalista włoski, zawsze on mówi swym klientom, że to oni nie mają racyi, albo zamknie im usta powodami urojonymi, jak: „ognisko moje zgasło w nocy", albo: „tego ranka dostrzegłem złowróżbnego ptaka; widzicie, to nie moja wina." Ludzie, wysłuchawszy tego, oddalają się bez urazy. Wystarcza przytoczyć, że teraz, kiedy jesteśmy w samej porze deszczowej, gdy horyzont zasnuty gęstemi, czarnemi chmurami, zbierają składkę dla złożenia ofiary, mającej deszcz wyjednać, (jeżeli deszcz nie przeszkodzi ceremonii!)

Niemniej tłum nie dostrzega w przepisach, narzuconych mu przez czarownika, widoków osobistych. W przepisach tych religijnych wszystko zmierza do jednego celu, to jest do jego żołądka.

Oto kilka próbek:

Kobieto, gdy się zmęczysz, nie siądziesz na korycie. — Pasterzu, zabijesz krowę, gdy będzie miała bliźnięta. — Ty, co chatę budujesz, nie dotkniesz do mięsa; gdy chatę postawisz, zaprosisz nas na *tembo*. — Gdy pies cię ukąsi, zemścisz się na baranie. – Gdy wyjdziesz z więzienia, baran cię oczyści. — Gdy grzechy wyrzucisz, baranem nas uraczysz — i t. d. i t. d.

Gdyby chciano wszystko wyczerpać, spis byłby długi. Ogon krowy okręcający się koło drzewa, roztargnienie dziecka, pijącego mleko gotowane, uderzenie wielkiego palca u nogi.... wszystko dostarcza sposobności do zabicia barana.

I nie brak nawet skrupulatów. Raz wieczorom papuga nasza drażni psa, wskutek czego pies rzuca się na jednego z naszych robotników pogan, człowieka ubogiego. Kikuju wychodzi z tej rozprawy z lekkiem zadraśnięciem nogi, ale nazajutrz idzie do czarownika i zabija barana. Z powodu papugi biedaczysko rzucił na wiatr 5 rupii, zarobek całego miesiąca i ośmiu dni!

Wreszcie czarownik — i ta strona jego działalności nie powinna być policyi obojętna — jest uboczną przyczyną wielu zbrodni. Nie dlatego, by jego proszki, lub pigułki miały być zawsze trucizną, należą one bowiem do tej kategoryi, o której się mówi: „Jeżeli nie pomogą, to i nie zaszkodzą." Czarownik zabija konających, każąc ich wynosić w krzaki na dwa, lub trzy dni przed śmiercią. Chłód, deszcz, noc i t. d., prędko czynią chorobę ich śmiertelną. Bardzo mało też zostaje potem przy życiu. Jest wprawdzie strażnik, mający bronić ofiarę przed zapędami przedwczesnymi hyen, ale, źle poinformowany

o oznakach śmierci, nieraz zostawia żywych na łasce tych zwierząt. Gdy ci biedacy obudzą się, już napoczęci przez drapieżne zwierzęta, możecie pojąć ich przerażenie! Spotykam raz staruszkę, mającą jedno tylko ucho.

— Gdzież twoje drugie ucho? — pytam.

— Ach, posłuchaj tylko! Byłam bardzo chora; myśleli, że umarłam i opuścili mnie... naraz czuję okropny tu... ból, poruszyłam ręką, patrzę, a tu oddala się hyena!... Zawlekłam się do chaty, zaszyli mnie tu, widzisz — i mam tylko jedno ucho.

Okrucieństwo to jest dziełem czarownika. „To grzech — naucza on — pozwolić umrzeć komuś w chacie. Jeżeli kto to uczyni, musi zabić barana i spalić chatę.“ „To grzech także — dodaje on — dotknąć do trupa.“ Stąd dziki zwyczaj zostawiania umarłych w krzakach, na czem cierpi zdrowie publiczne i co jest powodem widowisk oburzających...

Co czynić wobec faktów tego rodzaju, na które wzdryga się natura? Zniewolenie tych dzikich ludzi do grzebania umarłych, byłoby pogwałceniem najdawniejszych ich tradycyj i niezawodnem odsunięciem ich od misyi. Wpojenie w chrześcijan przekonania, że powinni im oddać tę usługę, nie przedstawia trudności, ale ściąga na tych ostatnich następstwa, na jakie nie można ich narażać; bez względu bowiem na poświęcenie, unikają ich wówczas, odmawiają gościnności, patrzą na nich, jak na hyeny, a jeden nawet stracił z tego powodu narzeczoną.

Oto fakt wskazujący wstręt tych ludzi do nieboszczyków. Którejś nocy kobieta padła nieżywa na progu chaty. Z rana cała wieś była wzburzona. Żaden Kikuju nie ruszy małym palcem u nogi z tego powodu; wzywają więc kilku chrześcijan Swahilisów: „Dajcie nam cztery rupie i *temba,* a zabierzemy ciało“ — brzmi odpowiedź. — Zgadzają się. Swahilisowie zanieśli ciało dalej. „O, to jeszcze za blizko!“ — krzyczą tamci. Swahilisowie patrzą na nich i mówią: „Jeżeli chcecie, zaniesiemy dalej, ale za ośm rupii.“ Tego było już za wiele dla Kikujów, woleli skazać raczej swe powonienie na ośmiodniowe męczeństwo, i tak hyena zbyt blizko chat nie podejdzie.

Czarownik jest zabójcą, gdyż rozkazuje młodej kobiecie, która nie miała jeszcze dzieci, a którejby po raz pierwszy urodziły się bliźnięta, zadusić jedno z nich. Zwyczaj ten barbarzyński nie należy do historyi starożytnej. Przed dwoma zaledwie tygodniami to dzieciobójstwo miało być w nocy popełnione, kiedy dwóch chrześcijan wyłamuje drzwi, wołając: „Nie zabijajcie dziecka, bo powiemy Ojcu i pójdziecie do więzienia.“ Dziecko zostało oszczędzone. W kilka dni później jedno z bliźniąt umarło wskutek wyniszczenia matki. Nie było

dlań ratunku, gdyż tyran, czarownik, zabrania jeszcze, pod grzechem, powierzać dziecko mamce.

W czarowniku to tkwią korzenie pogaństwa, którego on jest kapłanem; stąd nie ma on innego celu, jak — utrwalanie dawnych przesądów wśród swych rodaków i tworzenie nowych. Cywilizacyę europejską chciałby widzieć jak najdalej od swych kochanych klientów. Nienawidzi ją, jak złodziej brytana, gdy kradnie w nocy.

Nic go tak nie dręczy, jak przybycie białych. Jakże chętnie nakłaniałby do buntu! Poprzestaje jednak na rzucaniu powoli, cichaczem, pierwszych iskier tylko.

Sądząc z punktu ewangelicznego, wynikiem jego apostolstwa jest zastój pogan w obyczajach i grubych nałogach. Kraj ten jest jeszcze obszerną pustynią, gdzie garstka naszych chrześcijan stanowi małą oazę, a zawdzięcza się to, bez wątpienia, tym starcom, o usposobieniu słodkiem a pełnem hypokryzyi, których zowią czarnoksiężnikami.

Zniknięcie z widowni czarownika jest urojeniem. Nic nie przeszkodzi szatanowi grać roli swojej na scenie świata, tak czarnego, jak białego; zawsze też będą czarownicy u murzynów. Z biegiem czasu zmienią tylko nazwę, cel ich jednak nie ulegnie zmianie, będzie on zawsze przeciwdziałaniem wpływom religii. Pomimo to należałoby przedsięwziąć kroki stanowcze. Policya winnaby zapobiedz kradzieżom, nadużyciu zaufania, sprzedaży popiołu i kurzu pod nazwą lekarstw za cenę wołu, lub barana, przepowiedniom za 4, lub 5 rupii, dzieciobójstwu, przedwczesnej śmierci...

Misyonarzom przypadłoby w udziale wykorzenienie wszystkich przesądów, uświęconych przeszłością, wszystkich zwyczajów pogańskich. Praca to długa i mozolna; dla dokonania jej nie czarowników przekonywać trzeba, że trudnią się oszustwem, o czem i sami dobrze wiedzą, ale oświecać ich klientów, wskazując bezsilność tych szarlatanów, z którymi walka musi być prowadzona nieustannie. Rzeczą misyonarza jest zdobycie wiedzy praktycznej w zakresie chorób pospolitych i zastosowanie odpowiednich środków. W razie, gdyby przyczynił się do wyzdrowienia chorych, wzrosłaby ufność względem niego, urok zaś czarownika zmniejszyłby się. Na nieszczęście kilku chorych umarło w naszym małym szpitalu, choroba ich bowiem zanadto już była postąpiła. Śmierć ta złe zrobiła wrażenie; to też na widok Siostry Józefy, pełnej poświęcenia dozorczyni, lud ten ciemny i niewdzięczny mówi: „Trucicielka!“ Słowo przejęte od nauczyciela, nauczycielem zaś tym jest czarownik. Patentu na to on nie potrzebuje. Najlepiej byłoby odnaleźć chorych w domu na początku choroby i tam często ich odwiedzać. Tym sposobem łatwiej też pozyskałoby się ich dusze.

Oczywiście honoraryum lekarskie misyonarza nie byłoby wysokie. Trochę niewdzięczności, słów raniących, narzekań i t. p. stanowiłoby jego zapłatę. Wszystko to zniesione cierpliwie, może powiększyć jego zasługi, ale nie... zawartość kasy.

Przez litość, nie odtrącajcie ręki misyonarza, wyciągającej się w imieniu tych nędzarzy, powołanych do stania się równymi nam w Chrystusie, a którzy na sądzie ostatecznym obecni będą, gdy Zbawiciel powie: „Byłem chory, a odwiedziliście mię.“

*Gdy X. Bosko, kwestując bezustannie, nie otrzymywał jałmużny, mawiał zwykle: „Biedni — chciałem im wyświadczyć dobrodziejstwo, ale go przyjąć nie chcieli.“*

*Ktobykolwiek przyjął to dzieciątko w imię moje, mnie przyjmuje: a ktokolwiek mnie przyjmuje, przyjmuje Tego, który mnie posłał.* (Łuk. IX, 48).

## ODPUSTY ZUPEŁNE,

których w lutym dostąpić mogą członkowie i zelatorzy Sodalicyi św. Piotra Klawera:

*Dnia 2 lutego w uroczystość Oczyszczenia Matki Boskiej.*

*Dnia 24 lutego w uroczystość św. Macieja, Apostoła.*

**Warunek:** Godne przyjęcie św. Sakramentów Pokuty i Ołtarza, nawiedzenie kościoła, modlitwa o rozkrzewienie wiary i na intencyę Ojca św.

**Zamknięcie redakcyi 1 stycznia 1912.**



Wydawca: Sodalicya św. Piotra Klawera.
Redaktor odpowiedzialny: *Zofia Popielówna.*

W Krakowie. — Drukarnia „Czasu“ pod zarządem A. Świerzyńskiego.